


GWIAZDY ★ ROMANSU

DIANA PALMER



Szczęśliwa gwiazda



Czy wiesz dlaczego
książki Wydawnictwa Harlequin
czytają miliony kobiet?

Najczęściej wybierane odpowiedzi:

- lubię szczęśliwe zakończenia
- wprawiają mnie w radosny nastrój
- pozwalają oderwać się od rzeczywistości
- zapewniają miły relaks

HARLEQUIN®

dla każdej kobiety, każdego dnia...

Więcej informacji znajdziesz na
www.harlequin.com.pl

Szczęśliwa gwiazda

DIANA PALMER

Szczęśliwa gwiazda

Przełożyła:
Wiktoria Mejer



Tytuł oryginału: The Texas Ranger

Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2001

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Korekta: Ewa Popławska

© 2001 by Diana Palmer

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2007

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy MIRA jest zastrzeżony.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie: COMPTExT ®, Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 978-83-238-5033-5

Indeks 324531

MIRA 4

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ze ścian komendantury Straży Teksasu w San Antonio patrzyli uwiecznieni na czarno-białych fotografiach dawni stróże prawa. Niczym duchy z przeszłości spoglądali na swoich zapracowanych następców oraz na nowoczesne urządzenia – telefony, faksy i komputery, których praca wypełniała całe biuro dziwnie uspokajającym szumem, jakby to była jakaś futurystyczna kołysanka.

Sierżant Marc Brannon siedział odchylony do tyłu na obrotowym krześle przy zawalonym papierami biurku, na którym do kompletu trzymał nogi. Spalone słońcem, lekko falujące brązowe włosy połyskiwały w świetle jarzeniówek, jasnoszare oczy były przymknięte, gdy rozważał niedawne, dość niepokojące zdarzenie.

Jego bliski przyjaciel, również Strażnik, Judd Dunn, kilka tygodni wcześniej omal nie został przejechany przez pędzący z ogromną

szybkością samochód. Krążyły pogłoski, że miało to coś – a może nawet wiele – wspólnego z dochodzeniem prowadzonym w San Antonio przez FBI w sprawie nielegalnego hazardu organizowanego przez Jake’a Marsha, szefa lokalnej mafii. FBI oddelegowało do San Antonio współpracującego z nimi Judda, który miał przyjrzeć się z bliska działalności Marsha, a w rezultacie ledwo uszedł z życiem. Kiedy załatwił sobie przeniesienie do Wiktorii, dalsze śledztwo spadło właśnie na Brannona. Oraz na upiornego faceta nazwiskiem Curtis Russell.

Nieznośny był z niego człowiek, bo jak się do czegoś przyczepił, to już nie puszczał. Nie dalej jak dwa dni wcześniej prokurator generalny Simon Hart rozmawiał z Brannonem przez telefon, mówiąc bez ogródek, co myśli o jego partnerze, który zawitał do Austin, stolicy Teksasu, i niemal zamieszkał w stanowym biurze śledczym, gdzie z maniackim uporem przekopywał się przez akta dwóch niedawnych morderstw, o które podejrzewał właśnie Marsha. Licho wie, może i miał rację, węsząc jakieś powiązania, ale znalezienie haka na lokalnego szefa mafii graniczyło z cudem, chociaż maczał palce w wielu sprawach.

Marsh ciągnął zyski i z nielegalnych zakładów, i z prostytucji, i z szantaży, więc stróżów prawa aż świerzbiały ręce, by wreszcie

dobrać mu się do skóry. Gdyby zdołali udowodnić mu cokolwiek, natychmiast powołaliby się na stanowe prawo, które pozwalało zająć posiadłość stanowiącą miejsce działalności przestępczej i zamknęliby nocny klub Marsha, gdzie kwitła prostytutka i nielegalny hazard. Niestety, co innego wiedzieć o czyichś ciemnych interesach, a co innego je udowodnić. Szef mafii był szczywanym lisem, który doskonale wiedział, jak nie zostawiać śladów i wyprowadzać w pole tych, którzy próbowali deptać mu po piętach. To, że stróże prawa w odróżnieniu od niego musieli owego prawa przestrzegać, działało na jego korzyść.

Szkoda, że teraz do takich drani nie można już strzelać, pomyślał z nagłym żalem Brannon, zerkając na stuletnie zdjęcie konnego Strażnika, który trzymał na lassic obszarpanego, rannego przestępcę.

Szczupła dłoń Brannona odruchowo powędrowała do kabury na biodrze, z której wystawała ciemna rękojeść kolta kaliber czterdzieści pięć. Ponieważ Strażnicy nie posiadali żadnego określonego przepisami umundurowania oraz uzbrojenia, panowała w tym zakresie dość duża dowolność. Większość preferowała białe koszule z czarnymi krawatami i z przypiętą na piersi odznaką w kształcie gwiazdy wpisanej w koło. Sporo osób nosiło też jasne kapelusze typu

stetson oraz wysokie buty z cholewami, ponieważ był to tradycyjny strój, budzący zaufanie obywateli oraz kojarzony z profesjonalizmem. Brannon próbował dostosować się do tych reguł, ponieważ od jakiegoś czasu miał inny stosunek do pracy niż poprzednio.

Dwa lata wcześniej popełnił błąd swojego życia, źle oceniając kobietę, którą zdążył naprawdę... polubić. Nie winiła go za to, przez co musiała przejść z jego powodu – wiedział o tym od swojej siostry. On jednak miał do siebie taki żal, że rzucił pracę w Straży, wyjechał z Teksasu i zatrudnił się w FBI. Niestety, ucieczka przed problemem wcale go od problemu nie uwolniła, bo poczucie winy wyjechało wraz z nim. Smutek i żal również.

Ciągle ją miał przed oczami – niepokorną trzpiotkę o ciętym języku i wspaniałym poczuciu humoru. Chociaż los nie szczędził jej razów, Brannon nie znał równie pogodnej i miłej osoby. Tęsknił za nią. Oczywiście ona nie tęskniła za nim, bo i za czym miałyby tęsknić? Za facetem, który ją skrzywdził? Gorzej. Złamał jej życie.

– Co, nie masz nic do roboty? – rzuciła przechodząca współpracowniczka.

Marc Brannon był naprawdę smacznym kąskem, ponieważ bary miał szerokie, biodra wąskie, a twarz dokładnie w takim typie, jak dawni

bohaterowie westernów. Równie podniecająco działały na kobiety jego zmysłowe usta, złamany co najmniej raz nos oraz dość bezczelny sposób bycia. Brannon jednak wydawał się wcale nie korzystać ze swoich atutów i nawet jeśli z kimś się umawiał, czynił to tak dyskretnie, że nawet największe plotkarki w Straży i policji nie miały o niczym pojęcia.

– Przecież ciężko pracuję – odparł z żartobliwym błyskiem w oku. – Właśnie oddziałuję telepatycznie na przestępców. Lada moment w całym kraju kryminaliści powinni zacząć dobrowolnie zgłaszać się na policję.

– Tak? I co jeszcze? – spytała ze śmiechem.

– W porządku. – Westchnął. – Właśnie wróciłem z sądu, gdzie składałem zeznania, a przede mną leżą akta sześciu spraw, którymi mam się zająć. Próbuję ustalić, która jest najważniejsza. – Wycelował długim palcem w stos teczek na blacie. – Chyba rzucę monetą.

– Nie musisz, kapitan ma dla ciebie pilną robotę.

– Ha, ocaliły mnie nowe rozkazy! – Gwałtownie zdjął nogi z biurka, wstał i przeciągnął się, aż biała koszula z odznaką opięła się na jego muskularnej piersi. – Co to za robota?

Rzuciła na blat zadrukowaną kartkę.

– Morderstwo, boczna uliczka przy Castillo Boulevard, biały, dwadzieścia pięć do trzydziestu

lat. Na miejscu jest dwóch detektywów z wydziału kryminalnego, ekspert od medycyny sądowej, dwóch techników i dwóch policjantów z patrolu. Kapitan każe ci jechać tam natychmiast, zanim wezwą ambulans do przewiezienia ciała.

Ściągnął brwi.

– Hej, przecież ten rejon podlega jurysdykcji... – zaczął.

– Wiem. Ale to śliska sprawa. Znaleźli zwłoki białego mężczyzny z jedną raną postrzałową z tyłu głowy. Ewidentna egzekucja. A co jest na Castillo Boulevard?

– Nie wiem.

Spojrzała na niego triumfalnie.

– Nocny klub Jake’a Marsha. A ciało znaleziono w sąsiedniej alejce, praktycznie dwa domy dalej.

Brannon rozjaśnił się.

– Proszę, proszę! Taka miła niespodzianka, kiedy właśnie zacząłem się nad sobą uzalać.

– Zawahał się. – Chwila. Czemu ja dostałem tę sprawę? – spytał podejrzliwie, łypiąc na znajdujące się w pobliżu drzwi gabinetu szefa.

– Wiesz, co ostatnio mi zlecił? Zbadanie tajemniczego zgonu krowy. – Nachylił się i zdradził koleżance na ucho: – Krążyły pogłoski, że to kosmici ją tak zmasakrowali.

– Kto wie? Może faktycznie?

Kiedy posłał jej mordercze spojrzenie, uśmiechnęła się.

– Stary jest wkurzony, bo przyjęto cię do FBI, a jemu już dwa razy odrzucono podanie. Ale powiedział, że możesz dostać to morderstwo, bo w tym miesiącu nie musiał się za ciebie przed nikim tłumaczyć. Jak na razie...

– W takim razie jestem gotów założyć się o tygodniowe wynagrodzenie, że do wieczora ta sprawa stanie się głośna i rzuca się na nią wszystkie media.

– Nie zakładam się. Aha, tak przy okazji... Kapitan kazał ci powiedzieć, żebyś jako Strażnik nie jeździł do tej nowej stacji benzynowej obsługiwanej przez same dziewczyny.

Uniósł brwi.

– Czemu? Uważa, że te dziewczyny nie znają się na swojej pracy i coś źle robią? – spytał niewinnym tonem, dzięki czemu udało mu się ją podpuścić.

– Nie, podobno wszystko robią świetnie, a najlepiej las... – Zaczerwieniła się, uświadamiając sobie, co powiedziała, wykonała jakiś niezręczny gest i czym prędzej uciekła.

Marc Brannon uśmiechnął się szelmowsko, zabrał z biurka kartkę oraz kremowego stetsona i wyszedł.

W Austin smukła kobieta z rudymi włosami

upiętymi w kok i z okularami w złotej oprawce, za którymi widniały piwne oczy, pogodne i błyszczące, próbowała pocieszyć jednego z informatyków pracującego w prokuraturze generalnej.

– On cię naprawdę lubi, Phil – zapewniła Josette Langley młodego człowieka, który od miesiąca miał pierwszą w życiu pracę. Wyglądał na kompletnie załamane. – Uwierz mi.

Niebieskooki rudzielec spojrział na drzwi gabinetu Simona Harta, prokuratora generalnego stanu Teksas, i zaczerwienił się po same uszy.

– Powiedział, że to moja wina, że jego komputer się zawiesił, kiedy on akurat wymieniał pilne e-maile z wiceprezydentem na temat konferencji, którą ma zwołać gubernator. W którymś momencie wylogowało go i już nie mógł się ponownie połączyć. Rzucił we mnie myszką bezprzewodową!

– I tak ci się upiekło, bo nie rzucił laptopem – skwitowała z łobuzerskim uśmiechem. – Nie przejmuj się, on ciska przedmiotami tylko wtedy, gdy Tira jest na niego wściekła, a to nie trwa długo. W dodatku wiceprezydent jest jego dalekim krewnym. Moim zresztą też... – mruknęła w zamyśleniu. – Nieważne. W każdym razie naucz się nie brać sobie do serca wybuchów Simona. Jest porywczy, łatwo wpada w furję i równie szybko odzyskuje dobry humor.

Phil łypnął na nią ponuro.

– Na ciebie nigdy nie krzyczy – wytknął jej.

– Ponieważ jestem kobietą, a on wyznaje staroświeckie poglądy i nigdy nie podniesie głosu na kobietę. On i jego bracia zostali wychowani według dawnych, surowych zasad. Pod tym względem są zupełnie niedzisiejsi.

– Ma czterech braci i podobno wszyscy są tacy sami jak on. Nie wyobrażam sobie tego.

– Po pierwsze, nie do końca są tacy sami, po drugie dwaj się ożenili i dzięki temu nieco ustatkowali.

Wolała nie myśleć o pozostałych dwóch Hartach, Leo i Reyu, oraz ich wybrykach i szaleństwach, które powoli stawały się legendarne.

– Za to ci dwaj pozostali to nieźli furiaci. Przecież nie dalej jak w zeszłym tygodniu jeden porwał z restauracji kucharkę, normalnie przerzucił ją sobie przez ramię i wyniósł. Ależ krzyczała... Musieli wysłać za nim Strażników!

– Wysłano jednego, zresztą chodziło o rodzaj żartu, a kucharka nie tyle krzyczała, co... Och, nieważne – ucięła, gdyż poczuła, że twarz zaczyna ją zdradliwie palić na samą wzmiankę o Strażnikach Teksasu.

Miała bolesne wspomnienia związane z jednym z nich, w którym zresztą była nieprzytomnie zakochana. Skończyli po przeciwnych stronach sali sądowej podczas głośnego procesu

o morderstwo. Wiedziała od jego siostry, że Marc Brannon po zerwaniu narozrabiał po pijanemu, pierwszy i ostatni raz w życiu, potem odszedł ze służby, wstąpił do FBI, a po dwóch latach wrócił do San Antonio, przeprosił się z dawną pracą. Gretchen Brannon powiedziała jeszcze jedną rzecz, bardzo dziwną – otóż podobno Marca zżerały wyrzuty sumienia z powodu tego, co wydarzyło się między nim i Josette, kiedy był policjantem w Jacobsville. Zważywszy wszystkie bolesne słowa, jakie usłyszała przy zerwaniu, nie bardzo potrafiła uwierzyć, by poczuwał się wobec niej do jakiegokolwiek winy.

Ze swej strony Josette zapewniła Gretchen, że nie żywi urazy do Marca. Właściwie powiedziała prawdę, ponieważ postanowiła mu wybaczyć, ale coś w niej miało ochotę powiesić go za ostrogi na suchym dębie za to, że dwa lata wcześniej zmienił jej życie w koszmar. Uparcie nie dawał wiary jej wersji wydarzeń, aż do tej nieszczęsnej ostatniej randki, kiedy to porównał Josette do prostytutki, a potem zerwał z nią.

Odsunęła od siebie irytujące wspomnienia tamtego wieczoru i skupiła się na problemie biednego Phila Douglasa.

- Wstawię się za tobą u Simona – obiecała.
- Mnie się naprawdę bardzo podoba ta praca – zapewnił gorliwie. – Możesz o tym wspomnieć. I naprawię komputer tak, że już nigdy nic

się nie zawiesi. Jestem gotów złożyć w tej sprawie pisemne oświadczenie!

– W porządku, wszystko mu powtórzę, i to zaraz, bo właśnie mam do niego sprawę. Głowa do góry, świat się nie zawalił. Z czasem każde zmartwienie przemija, nawet to najbardziej bolesne.

Coś o tym wiem, pomyślała, lecz zachowała to dla siebie.

Kiedy weszła do gabinetu prokuratora generalnego stanu Teksas, ujrzała, jak siedzący za biurkiem Simon Hart wpatruje się w trzymaną w rękę słuchawkę z wyrazem takiego obrzydzenia na twarzy, jakby ją przed chwilą ugryzł, a ta okazała się zgniła.

– Coś nie tak? – spytała Josette, stając przed biurkiem.

Odłożył słuchawkę na aparat. Druga dłoń spoczywała nieruchomo na blacie. Wyglądała bardzo naturalnie. Simon był wysoki, potężny, ciemnowłosy, jasnooki i onieśmiałający. Jego wspaniała rudowłosa żona, Tira, oraz ich dwaj synowie uśmiechali się z fotografii ustawionych na stoliku pod ścianą. Na innej widniał Simon otoczony braćmi, którzy popatrywali na niego z trwożliwym szacunkiem. Josette uśmiechnęła się lekko. Nawet pozbawiony jednej ręki wzbudzał strach, gdy wybuchał gniewem.

– Dzwoniła zastępczyni prokuratora okręgo-

wego z San Antonio, właśnie znaleźli zwłoki prawie pod samym nocnym klubem Jake'a Marsha, sprawa wygląda na mafijne porachunki. – Zerknął na nią. – Marsh to gruba ryba w tamtejszym świecie przestępczym. Słyszałaś o nim?

– Nazwisko obilo mi się o uszy, ale nic bliższego nie wiem. Nie rozumiem jednak, czemu miałyby nas interesować morderstwo w San Antonio.

– Wszystko zależy od tego, czy Marsh maczał w nim palce i czy uda się znaleźć na to dowody. Nie muszę ci chyba mówić, że prokurator okręgowy staje na głowie, żeby wreszcie dopaść tego drania. W tym roku są wybory do senatu i jak zwykle zwalczanie przestępczości będzie ważnym hasłem kampanii, nie chcę więc, żeby Teksas znowu znalazł się w centrum uwagi jako stan specjalnej troski. Prokuratura okręgowa też tego nie chce, więc naciska na policję o dodatkowych ludzi do pomocy przy śledztwie.

Nie mówił jej wszystkiego, widziała to po sposobie, w jaki na nią patrzył.

– Wiesz, że nie zdołasz niczego przede mną ukryć – rzekła nagle. – Co to za rzecz, której nie chcesz mi zdradzić?

Ze śmiechem pokręcił głową.

– Ciebie rzeczywiście nie da się zwieść, nie mam pojęcia, jak ty to robisz. W porządku, powiem ci. Policja oddelegowuje jednego ze

Strażników, Marca Brannona. – Uniósł dłoń, widząc, jak Josette na moment zamiera, a potem otwiera usta. – Tak, pamiętam, jesteście na noże, ale potrzebujemy go. Prokurator okręgowy i ja w pełni popieramy jego udział w śledztwie. Chciałbym wysłać cię do San Antonio, będziesz mnie o wszystkim informować na bieżąco. Powiem ci, że mam złe przeczucia...

Ledwie go słuchała; serce biło jej jak szalone.

– Jeśli mnie tam wyślesz, to powinieneś mieć jeszcze gorsze. Wyobrażasz sobie mnie współpracującą z Brannonem? Najpierw jemu musiano by zarekwirować naboje, a mnie paralizator.

Zachichotał. Mimo tragicznych przejść zachowała poczucie humoru, była dzielna, silna i niezależna. Zatrudnił ją przed dwoma laty, gdyż nikt inny nie chciał tego zrobić, zresztą właśnie przez Brannona. Simon nigdy nie żałował swojej decyzji, przeciwnie. Josette ukończyła kryminalistykę i zamierzała pracować jako oficer śledczy, lecz los pokrzyżował jej plany i rzucił ją do urzędu stanowego. Kiedy któryś z prokuratorów okręgowych prosił o pomoc w śledztwie, Simon wypożyczał mu Josette, by przynajmniej przez jakiś czas mogła popracować w terenie.

– To jeszcze nic pewnego – zastrzegł się.
– Na razie wciąż trwają oględziny miejsca zbrodni. Może w ogóle ta sprawa nie ma nic

wspólnego z Marshem, ale dałby Bóg, żeby było inaczej. Na wszelki wypadek chciałem cię uprzedzić, gdybyś jednak musiała tam jechać.

– Dzięki.

– W końcu jesteśmy rodziną, prawda?
– Zmarszczył brwi. – Czekał, jak to było? Twój stryjeczno-cioteczny brat był kimś tam dla drugiej żony mojego dziadka, tak?

– Przestań – jęknęła. – Przydałby się spec od genealogii, bo to zbyt dalekie powinowactwo.

– W porządku, nikt nie mógłby oskarżyć mnie o nepotyzm w związku z zatrudnieniem ciebie, ale i tak łączą nas więzy rodzinne.
– Uśmiechnął się ciepło. – My tu w biurze w ogóle jesteśmy jedną wielką rodziną.

– Bardzo się cieszę, że tak myślisz o swoich pracownikach, bo kuzyn Phil przeprasza za zamieszanie z twoim komputerem i ma nadzieję, że nie wylejesz go z roboty, którą bardzo lubi
– wyrecytowała z humorem i mrugnęła.

Simonowi aż zabłyśły oczy.

– Kuzyn Phil? – ryknął. – Powiedz kuzynowi Philowi, żeby pocałował mnie w...

– Nie wyrażaj się, bo zadzwonię do Tiry i naskarzę na ciebie – ostrzegła.

Zgrzytnął zębami.

– Dobrze, już dobrze... Czekał, co ty właściwie ode mnie chciałaś?

– Podwyżkę – rzuciła natychmiast, po czym

zaczęła wyliczać na palcach: – Komputer, który się nie zawiesza przy uruchamianiu. Nowy skaner, bo stary pracuje w żółwym tempie. Nową szafę na dokumenty, bo ta już pęka w szwach. I co byś powiedział na takiego małego pieska-roboty? Nauczyłabym go aportować akta...

– Siadaj wreszcie!

Usiadła, nie przestając się uśmiechać i rzeczowo zreferowała problem, jaki przedstawił w przysłanym faksie jeden z prokuratorów okręgowych, prosząc o opinię prokuratora generalnego. Udawała przy tym zupełnie niewzruszoną faktem, że los może postawić na jej drodze Marca Brannona po raz trzeci.

Kiedy wyszła z gabinetu Simona, mało brakowało, by zaczęła się trząść ze zdenerwowania. Modliła się, by to było jakieś łatwe do rozwiązania morderstwo, ponieważ ona za nic nie chciała znowu natrafić na tego mężczyznę, zwłaszcza teraz, gdy wreszcie dochodziła do siebie po koszmarnych wydarzeniach sprzed dwóch lat i gdy wydawało się, że w końcu wyleczy się z tego nieszczęsnego uczucia do Brannona. Niemniej jednak przez resztę dnia chodziła półprzytomna, dręczona niejasnym przecuciem, że morderstwo w San Antonio radykalnie wpłynie na jej życie. Chyba znowu odzywały się geny po babci Erin...

Irlandka Erin O'Brien miała niezwykłą zdolność przewidywania przyszłości. Ilekroć rodzina wpadała do niej z niezapowiedzianą wizytą, już czekał kilkudaniowy obiad oraz przygotowany pokój gościnny. Babcia potrafiła przewidzieć nie tylko przyjemne, ale i tragiczne wydarzenia. Kiedy zginął jej brat, ojciec Josette przyjechał ze smutną wiadomością do swej matki i zastał ją ubraną w czarną suknię. Nie dało się oglądać kryminałów w jej towarzystwie, ponieważ pod koniec pierwszej sceny wiedziała, kto jest mordercą. To babcia przepowiedziała ukochanej wnuczce, że spotka wysokiego mężczyznę z odznaką, a jej los będzie odtąd z nim związany.

Kiedy policjant Marc Brannon uratował piętnastoletnią Josette, którą prawie zgwałcono podczas prywatki, Erin czekała na wnuczkę w progu domu jej rodziców i porwała ją w objęcia, ledwie przerażona dziewczyna wysiadła z radiowozu. Babcia zmarła, nim rodzina przeprowadziła się do San Antonio i był to dla Josette równie wielki cios, jak późniejsze zerwanie z ukochanym mężczyzną. Praktycznie do tej pory oplakiwała utratę obojga.

Po powrocie do niewielkiego, funkcjonalnie urządzonego mieszkania, które dzieliła z Barnesem, swoim kotem, Josette po raz pierwszy od dwóch lat wyciągnęła album ze zdjęciami, nagle spragniona widoku tego wysokiego, eleganc-

kiego, robiącego wrażenie mężczyzny z jej przeszłości.

Durzyła się w nim bez pamięci i prawie została jego kochanką – naprawdę brakowało już tyle, co nic – gdy Marc odkrył jej sekret, który nim wstrząsnął. Odepchnął ją od siebie, wyzwał od najgorszych i zerwał z nią na zawsze. Tydzień później Josette udała się w towarzystwie znajomego, Dale'a Jenningsa, na przyjęcie, na którym nagle zmarł w tajemniczych okolicznościach jeden z najbogatszych ludzi w San Antonio. Josette podejrzewała o morderstwo spadkobiercę zmarłego, lecz ten miał bardzo silną pozycję i poparcie, ponieważ ubiegał się o fotel wicegubernatora, a w dodatku był najlepszym przyjacielem Brannona, od którego dowiedział się, jak podważyć jej zeznania. Przypominał dawną sprawę o gwałt, dzięki czemu podczas rozprawy publicznie napiętnowano Josette jako osobę zupełnie pozbawioną wiarygodności, która nie pierwszy raz próbuje oszukać wymiar sprawiedliwości i zaszkodzić niewinnemu człowiekowi. W rezultacie tej kompromitacji straciła część znajomych, nie mogła znaleźć pracy, była wytykana palcami.

Od tej pory ona i Marc nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

Nie winiła go za to, że tak gorliwie bronił przyjaciela, co innego sprawiło jej znacznie

większy ból. Gdyby ją kochał, decyzja o zerwaniu nie przyszlaby mu równie łatwo...

Ludzie, którzy znali Brannona, stwierdziliby zapewne, że on w ogóle nie wie, co to miłość i nie rozpoznałby jej, nawet gdyby zdiełiła go między oczy. Był skrytym samotnikiem, w dzieciństwie zaznał biedy, wcześniej stracił ojca, potem matka zmarła na raka, a na koniec siostra została wykorzystana przez pewnego drania, który udawał zakochanego, by w końcu zniknąć bez śladu. W rezultacie tego wszystkiego Brannon stał się twardy i nieufny.

Barnes otarł się o ramię pani, odrywając ją od smutnych myśli. Pogłaskała kota i przytuliła, za co została nagrodzona głośnym mruzeniem, od którego aż coś przyjemnie w człowieku wibrowało. Miło też było czuć na rękach ciepły ciężar, gładzić miękkie futro. Josette znalazła go kiedyś na ulicy, głodnego, brudnego i pokaleczonego po jakiejś kociej bójce, a ponieważ nigdy nie potrafiła minąć żadnej istoty znajdującej się w potrzebie, pokochała Barnesa od pierwszego wejrzenia, zabrała go najpierw do weterynarza, a potem do domu, gdzie został nakarmiony i wykąpany. Od tej pory nie wyobrażała sobie życia bez ukochanego kota, gdyż dzięki niemu przestało być aż tak dojmująco puste.

– Głodny? – spytała, na co mocniej potarł łebkiem o jej ramię. – W porządku, zaraz dostaniesz kolację.

Postawiła go na podłogę, wstała, przeciągnęła się bez pośpiechu, wyginając szczupłe ciało. Rozpuszczone gęste włosy sięgały aż do bioder. Przypomniła sobie, jak bardzo Brannon nie lubił, gdy je spinała... Nie, dość tego! Żadnych więcej wspomnień!

– Mamy hamburgera, podzielimy się po połowie – poinformowała Barnes. Naraz skrzywiła się. – A potem będę musiała przekopać się przez tysiąc akt, ściągnąć z tuzin różnych dokumentów z internetu, napisać ze wszystkiego streszczenie, wysłać je do Simona, żeby mógł na jego podstawie wydać opinię, a potem przesłać tę opinię do prokuratora okręgowego, który o nią prosił. – Popatrzyła na stojącego przy jej bosych stopach Barnes i z żalem potrząsnęła głową. – Och, czemu nie urodziłam się kotem? To jest dopiero życie!

ROZDZIAŁ DRUGI

Sprawa się komplikuje, pomyślał, klęcząc przy ciele ofiary. Zabity nie miał jeszcze trzydziestki, był ubrany dość nędznie, jedno nagie ramię zdobił wytatuowany kruk, na nadgarstkach i kostkach widniały sznyty wskazujące na pobyt w więzieniu. Wokół jasnych włosów utworzyła się i zakrzepła kałuża krwi, dziwnie wyblakłe otwarte oczy patrzyły w niebo. Wydawał się kruchy i bezbronny, gdy tak leżał na ulicy wydany na łup spojrzeń ciekawskich przechodniów oraz poddany policyjnym oględzinom. Jeden z techników przeszukał okolicę za pomocą wykrywacza metalu i znalazł łuskę od pocisku, drugi filmował miejsce zbrodni z każdej możliwej strony.

Głęboko osadzone, srebrzystoszare oczy Brannona zwężyły się, gdy rozważał sprawę.

Marsh mógł nie mieć kompletnie nic wspólnego z morderstwem, lecz bliskość jego nocnego klubu nie wydawała się przypadkowa, pewnie coś się za tym kryło. W każdym wypadku na pewno zdoła przedstawić niepodważalne alibi, i to praktycznie na każdą dowolną chwilę, zgłaszając po kilku świadków. Ten drań pewnie ma gotowe alibi nawet na dziesięć lat naprzód, pomyślał z irytacją.

Brannon najpierw porozmawiał z obecnym na miejscu detektywem z wydziału zabójstw, Budem Garcia, potem z policjantami z patrolu, ponieważ to oni znaleźli zwłoki, a na koniec dołączył do oglądającej je metodycznie specjalistki od medycyny sądowej. Właściwie mógłby razem z innymi badać teren, szukając dowodów i śladów, lecz uznał, że zajmuje się tym wystarczająco dużo osób.

– Cześć, Jones – przywitał się. – Wiadomo już coś o ofierze?

– Pewnie – mruknęła, nie przerywając pracy.
– Wiem na bank dwie rzeczy.

– No mów – pogonił ją niecierpliwie, gdy zamilkła.

– Jest płci męskiej i nie żyje – odparła Alice Jones z łobuzerskim uśmiechem.

Posłał jej wymowne spojrzenie.

– W porządku, przepraszam. Nie, nie znamy nawet tożsamości, ofiara nie ma przy sobie

żadnych dokumentów. – Podniosła się i wskazała na ciało. – A ty co byś o nim powiedział na podstawie wstępnych oględzin?

– Ma sznyty, więc to pewnie były więzień. Albo zbiegły.

Pokiwała głową.

– Też tak myślę. Na razie nie da się stwierdzić nic więcej, dopiero sekcja dostarczy nam nowych informacji.

– Możesz podać w przybliżeniu czas zgonu?

Popatrzyła na niego, w jej oczach zamigotała przekora.

– Na pewno chcesz, żebym na środku ulicy wpakowała mu termometr w wątrobę?

– Do licha, Jones!

– Dobrze, już dobrze... Biorąc pod uwagę stężenie pośmiertne, oceniam, że zgon nastąpił mniej więcej dwadzieścia cztery godziny temu, z tolerancją do dwóch godzin w obie strony. – Wróciła do swojej pracy. – Ale nie traktuj tego jako zupełnie pewnej informacji. Lekarz, który go pokroi, poda ci dokładniejsze dane. Nie spodziewaj się tylko, że to będzie szybko, bo kostnica jest zapchana po sam sufit.

Tak jakby tego nie wiedział. To tylko w telewizyjnych programach kryminalnych wszystko szło szybko, zaś w rzeczywistości ciągnęło się całymi tygodniami. Zaklął pod nosem, wstał.

Jego odznaka zabłysła w słońcu. Robiło się coraz cieplej, więc na chwilę zdjął stetsona, odsłaniając falujące gęste włosy, otarł czoło grzbietem dłoni i nasadził kapelusz z powrotem, naciągając go głęboko na oczy.

– Kto cię wysłał do tej sprawy? – zagadnęła bez większego zainteresowania, przygotowując zwłoki do transportu.

– Mój własny rodzony szef. Liczymy na to, że morderstwo ma związek z facetem, którego od kilku lat bezskutecznie próbujemy przyskrzynić. Oczywiście szef wybrał najbardziej doświadczonego ze swoich ludzi. I obdarzonego największą inteligencją – dodał z szelmowskim uśmiechem.

Alice uniosła głowę, zlustrowała wzrokiem potężną sylwetkę i aż gwizdnęła.

– Jestem pod wrażeniem.

– Akurat – wycedził. – Na tobie nic nie robi wrażenia.

Odwrócił się i podszedł do detektywa z wydziału zabójstw, któremu tym razem towarzyszył jakiś policjant w cywilu, rozmawiający przez komórkę i na bieżąco przekazujący informacje Budowi Garcii.

– Tak, opis się zgadza, łącznie z tym krukiem na ramieniu. To na pewno on. Przekaż naczelnikowi więzienia moje podziękowania.

Policjant powtórzył to do telefonu, rozłączył

się i odszedł, zaś wyraźnie zadowolony Garcia odwrócił się do Brannona.

– Nareszcie coś mamy. Zakład karny pod Floresville zgłosił ucieczkę więźnia, którego opis dokładnie pasuje do naszej ofiary. Gość zwiął wczoraj rano podczas prac poza terenem zakładu.

– Podali nazwisko?

– Tak. Dale Jennings.

To nazwisko Brannon pamiętał doskonale, więc nareszcie zrozumiał, czemu od początku twarz denata wydawała mu się dziwnie znajoma – przecież to on został skazany przed dwoma laty za zamordowanie zamożnego biznesmena z San Antonio. Podobno miał powiązania z Jakiem Marshem i światem przestępczym. Podczas głośnego procesu jego zdjęcia pojawiały się na pierwszych stronach zarówno poważnych dzienników, jak i zwykłych brukowców. Proces przebiegał w atmosferze skandalu.

Owej feralnej nocy towarzyszyła Jenningsowi Josette Langley, która podczas śledztwa próbowała rzucać oskarżenia na cieszącego się powszechnym szacunkiem Biba Webba, obecnego wicegubernatora Teksasu. Rozgłaszała publicznie, że to on najwięcej skorzystał na śmierci znanego biznesmena. Prawnik Webba zdołał przekonać przysięgłych o niewinności swego klienta, wskazując na Jenningsa jako na rzeczy-

wistego sprawcę oraz podważając wiarygodność Josette Langley, która kilka lat wcześniej próbowała oskarżyć kogoś o gwałt, przy czym udowodniono ponad wszelką wątpliwość, że kłamała. To przesądziło sprawę, przyszły wicegubernator został oczyszczony z wszelkich zarzutów, a za morderstwo wysłano do więzienia Dale'a Jenningsa.

Przebieg wypadków tamtej nocy przedstawiał się następująco: w położonej nad jeziorem posiadłości Biba i Silvii Webbów odbywało się przyjęcie pod gołym niebem. Gospodyni nie było na nim przez jakiś czas, ponieważ odwiozła do domu Josette, gdy ta źle się poczuła. Silvia jako jedna z ostatnich osób widziała przyszłą ofiarę, gdyż po drodze pomachała na pożegnanie Henry'emu Garnerowi, który niedługo miał wracać do siebie, a który – jak się potem okazało – w ciągu paru następnych minut zginął na pomoście.

Kiedy pani domu niedługo potem znowu zjawiała się na przyjęciu, ku swemu zaskoczeniu ujrzała stojący dalej na podjeździe samochód Garnera. Podeszła; był pusty. Po drodze mijala wóz Jenningsa, na siedzeniu pasażera ujrzała zakrwawioną pałkę. Coraz bardziej zaniepokojona zaczęła wypytywać o Garnera swoich gości, a gdy okazało się, że nikt go nie widział od jakiegoś czasu, na wszelki wypadek zadzwoniła

na policję, która zabroniła komukolwiek opuszczać posiadłość. Przyjechał patrol, przeszukano okolicę i znaleziono ciało w jeziorze. Wezwano posiłki, detektywów, specjalistów od medycyny sądowej, zbadano cały teren, przesłuchano świadków. Na głowie denata znaleziono ślad po uderzeniu, pasował do zakrwawionej pałki w wozie Dale'a Jenningsa, którego od razu zaarrestowano, choć krzyczał na cały głos, że jest niewinny.

W wieczornych wiadomościach prenter poinformował, że śmierć nastąpiła zapewne w wyniku przypadkowego utonięcia, ponieważ według zeznań świadków biznesmen znajdował się pod wpływem alkoholu. Prawdopodobnie stracił równowagę, gdy wszedł na pomost i spadł z niego, uderzając się przy tym w głowę. O aresztowaniu podejrzanego nie padło ani słowo.

Być może ostatecznie rzeczywiście uznano by śmierć Garnera za wypadek, gdyby nie zeznania Josette, która od razu po obejrzeniu wiadomości zadzwoniła na policję. Zaprzeczyła, jakoby Garner pił oraz stwierdziła, że z całą pewnością nie było go nigdzie w pobliżu, gdy szły z Silwią do samochodu, więc żadna z nich nie mogła go widzieć. W dodatku zakwestionowała obecność pałki w wozie podejrzanego. Przyjechała z nim na przyjęcie, więc wie, że żadnej pałki ze sobą nie miał. Jako potencjalnego sprawcę wskazała gospodarza.

Tymczasem Bib Webb miał niepodważalne alibi, ponadto poważnie obciążył Jenningsa, zeznając, że Garner okazjonalnie zatrudniał go w charakterze szofera oraz ochroniarza, lecz w którymś momencie odkrył, że w tajemniczy sposób zaczęły mu ginąć różne rzeczy. Dzień przed tragicznymi wypadkami miało dojść do awantury między ofiarą a podejrzanym. I rzeczywiście podczas rewizji w mieszkaniu Jenningsa policja znalazła parę złotych spinek do mankietów, ozdobioną brylantem szpilkę do krawata oraz sporą sumę pieniędzy. W dodatku krew na znalezionej w jego samochodzie pałce była krwią ofiary, potwierdziły to badania DNA.

Wszystko przeczyło wersji Josette, a już gwoździem do trumny okazała się sprawa przypominiana przez adwokata Biba Webba – otóż kilka lat wcześniej piętnastoletnia wówczas Josette Langley wniosła oskarżenie o gwałt przeciw synowi jednego z najbardziej wpływowych obywateli Jacobsville, który na imprezie u siebie w domu miał podać jej w napoju narkotyk, a potem ją zaatakować. Oskarżenie odrzucono na podstawie orzeczenia lekarskiego, ponieważ badanie rzekomej ofiary wykazało, że do żadnego gwałtu nie doszło.

Te rewelacje skompromitowały Josette jako świadka podczas procesu o zamordowanie Henry’ego Garnera.

– Znasz tę Langley, która pracuje w biurze prokuratora generalnego, prawda? – spytał nieoczekiwanie Garcia, przywracając Brannona do rzeczywistości.

– Tak, oboje pochodzimy z Jacobsville. Potem przeprowadziła się z rodzicami do San Antonio, a dwa lata temu wyjechała do Austin. Od tej pory jej nie widziałem. – Starał się nie myśleć o tym, jak zerwał z nią na tydzień przed śmiercią Garnera. Ponownie spojrzął na zwłoki. – To wygląda na profesjonalną robotę – skomentował, gdy ciało zabitego stopniowo znikało w zamykanym na suwak czarnym worku. – Jeden strzał pod kątem w potylicę, z bardzo małej odległości. Pewnie wtedy klęczał, bo ma ślady błota na kolanach, takiego jak to. – Trącił czubkiem buta grudkę czerwonego błota.

– Tak, zauważyłem. – Detektyw wskazał ruchem głowy wylot zapuszczonej alejki. – Popatrz, jaki ciekawy przypadek, że dwa kroki stąd jest tylne wyjście z nocnego klubu Marsha.

– Jeśli maczał w tym te swoje brudne paluchy, znajdę sposób, żeby to udowodnić – wycedził zimno Brannon. – Od lat uchodzą mu na sucho morderstwa i próby morderstw, handel narkotykami, sutenerstwo i prowadzenie nielegalnego hazardu. Najwyższa pora dobrać mu się do skóry.

– Pewnie. Niestety, najpierw musimy mieć

niezbite dowody, nie możemy tak po prostu wejść i zaaresztować faceta tylko dlatego, że wiemy, kim jest. A szkoda... – westchnął z żalem Garcia.

– No to bierzmy się do roboty. Ja wracam do biura i dzwonię do Simona Harta zdać mu raport z tego, co już wiemy. – Ponuro zacisnął wargi. – Wścieknie się, jak go znam. Chyba wolałbym sprowokować grzechotnika.

Detektyw zachichotał.

– Dobrze powiedziane. – Wskazał na czekający na transport worek. – Kiedy usłyszałeś nazwisko, zrobiłeś minę, jakbyś go znał.

– Bo przypominałem go sobie.

– Nie wiesz, czy ma jakąś rodzinę?

– Chyba matkę – rzekł z roztargnieniem Brannon, zajęty czymś innym. – Znaleźliście łuskę, prawda? Jaki kaliber?

– Na moje oko dziewięć milimetrów, zobaczymy, co powie laboratorium. Słuchaj – rzekł nagle. – Czy ten cały Jennings nie był parę lat temu skazany za morderstwo?

– Owszem. To była głośna sprawa, próbowano w to wplątać obecnego wicegubernatora. Mało brakowało, a przegrałby w wyborach, ale kontrkandydat wycofał się w ostatnim tygodniu i Bib Webb dostał fotel. I dobrze, bo to bardzo porządny facet. – Naraz westchnął. – Ech... Miałem w perspektywie nudny, miły miesiąc,

niewiele do roboty, a tu nagle wdepnąłem w nieboszczyka i kłopoty z prasą, bo przecież media nie przepuszczą okazji i natychmiast odgrzeją tamtą sprawę o morderstwo sprzed dwóch lat. Cholera, trudno o gorszy moment, to może fatalnie zaszkodzić Bibowi. Jego partia właśnie nominowała go do senatu, bo dotychczasowy senator miał zawał i wycofał się z życia publicznego. Jeśli wokół Webba narobi się za dużo szumu, urząd pewnie obejmie kto inny.

Garcia uśmiechnął się niewesoło.

– Takie życie... Człowiek zawsze ma inne plany.

– Święte słowa – przyznał Brannon.

Po powrocie do biura zadzwonił z wieściami do Simona Harta, a godzinę później wchodził na pokład samolotu lecącego do Austin.

Simon Hart przyjął Brannona w swoim wielkim gabinecie i wysłuchał szczegółowego sprawozdania. Potrzebował tego człowieka w śledztwie, ponieważ Marc Brannon miał specjalne uprawnienia, wymagane podczas pracy przy sprawach, które podpadały pod różne jurysdykcje. Taka komplikacja zachodziła właśnie w tym przypadku, ponieważ Jennings został zamordowany w hrabstwie Bexar, zaś zbiegł z więzienia w hrabstwie Wilson. W ogóle cała ta sprawa przysparzała wielu problemów. Od jakiegoś

czasu brakowało sensacji, toteż wyposzczone media tylko czyhały na okazję, by rzucić się na coś i rozdmuchać to do monstrualnych rozmiarów, bo przecież musiały czymś zapełnić dwudziestoczterogodzinne kanały informacyjne i wielostronicowe dzienniki. Potrzebowały świeżego mięsa. Lokalne stacje zdążyły nadać sensacyjną informację już w południowych wiadomościach. Ledwie ciało trafiło do kostnicy, agencje prasowe i ogólnokrajowa sieć telewizyjna trąbiły o tym, że ofiara odsiadywała karę za morderstwo popełnione w Austin dwa lata wcześniej, w które był zamieszany wicegubernator Teksasu Bib Webb. Tak, media kochały skandale polityczne wszelkiej maści.

– Rozmawiałem dziś rano z Webbem przez telefon – rzekł Simon, gdy wezwany do Austin Brannon zdał mu już szczegółowo sprawę ze wszystkiego. – Nie tylko stara się o fotel w senacie, ale też jego firma rozpoczęła realizację dużego projektu pod San Antonio, zupełnie unikatowego. Otóż tworzy kompleks nowoczesnych farm z zupełnie samowystarczalnym systemem nawadniania. Wszystkie rozwiązania technologiczne to prototypy, jeśli się sprawdzą, oznacza to koniec problemów z suszą, czyli wybawienie dla farmerów i ranczerów, dotąd zależnych od kaprysów pogody. Bib zainwestował ciężkie miliony w rozwiązanie problemów

innych, ale jeśli stanie się obiektem ataków, cały projekt może upaść. Wally się martwi – ciągnął, mówiąc o gubernatorze. – Kampania przed wrześnieowymi wyborami już się zaczyna, a Wally popiera Biba.

– Tak, wiem, jadłem z Bibem lunch w zeszłym tygodniu. Zastanawiam się, czy to możliwe, by ktoś zaaranżował całą sytuację specjalnie, starając się mu zaszkodzić w oczach wyborców? Jak myślisz?

– Czy możliwe? – Simon tylko się uśmiechnął. – Jak najbardziej. Wiesz, jak brudna i brutalna potrafi być polityka. Z drugiej strony żaden zdrowy człowiek nie popełni morderstwa jedynie po to, by wywołać skandal.

– Po świecie chodzi cała masa niezdrowych ludzi – przypomniał mu Brannon.

Simon usiadł wygodniej, inaczej ułożył protezę lewej ręki, sięgnął po filiżankę z kawą. Zamierzał zmienić temat, by rozluźnić Brannona przed dalszą częścią rozmowy. Mógł porozmawiać o sprawach prywatnych, ponieważ byli spokrewnieni i pochodzili z Jacobsville, gdzie Simon miał czterech braci, a Brannon ranczo, na którym do niedawna mieszkała jego siostra Gretchen, zanim nie wyszła za jednego z szejków z Bliskiego Wschodu, Philippe’a. Urodziła mu wspaniałego syna, obracała się w najlepszych kręgach.

– Miałaś ostatnio wieści od Gretchen?

– Tak, dzwoni co najmniej raz na miesiąc, żeby się upewnić, czy odżywiam się jak należy. Ma bardzo kiepskie zdanie na temat moich talentów kulinarnych – dodał, uśmiechając się z czułością na wspomnienie ukochanej młodszej siostry.

– Nie tęskni za Teksasem?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Syn i mąż zupełnie przesłonili jej świat.

– Rozumiem... – Simon upił łyk kawy. – Powiedz mi, czemu przestałaś pracować w FBI?

– Znudziło mi się to ciągle życie na walizkach – wykręcił się Brannon. – Po dwóch latach miałem dość.

– Nie rozumiem, czemu w ogóle odszedłeś ze Straży. Cieszyłeś się znakomitą opinią, mogłeś liczyć na awans, a ty rzuciłeś to wszystko, żeby jechać do Waszyngtonu, skąd zresztą w sumie szybko wróciłeś.

Brannon odwrócił wzrok.

– Wtedy wydawało mi się to dobrym posunięciem.

– Które nie miało nic wspólnego z procesem Jenningsa ani z osobą Josette Langley?

Tak mocno zacisnął zęby, że aż go zabolaly.

– Nic.

– Skoro już jesteśmy przy Josette... Ty działasz na terenie San Antonio, ona siedzi w Austin.